

Ośmiolet

Opera Wagnera. Kawa stygnie. Para unosi się w rytm poszczególnych dźwięków. Płyta wiruje na adapterze, albo to świat wiruje, a my stoimy w miejscu. Ucho w ucho z Wagnerem. Splot języków z napojem Brazylii. Mutualizm popędu ciała i potrzeb duszy. Ulotne zapachy, uciekające nuty. Zmysły, jak psy gończe. Nie, nie można mieć im tego za złe. Natura, pokraczna konstrukcja bytu ludzkiego, coś jakby na kształt ukierunkowanej materii, a jednak atomy unoszące się w próżni bez celu. Nie ma już dzisiaj rzeczy prostych, trywialnych i nudnych. Wszędzie zasady, mądre słowa i wypaczone poglądy wbijane ludzkości obuchem do ołowianych główek. Nie, nie godzi się. Nie godzi się w dzisiejszym świecie na pranie umysłów, szorowanie mózgowiem o tarki, aby pozbyć się ostatnich resztek indywidualizmu. I tak co dzień. Dzień za dniem to samo. Wagner, kawa lub dwie oraz ten bezsens kęsający duszę tysiącami refleksji i pytań.

Ulica w prawo od rynku. Czwarte mijane drzwi i schodami w dół. Potem raz w prawo, raz w lewo, następnie jeszcze raz w lewo i dalej już tylko prosto. Słysząc Wagnera, czuć zapach kawy i czegoś jeszcze. No właśnie. Dość osobliwy zapach. Zapach brzmi dumnie. Bardziej odór, fetor czy inny smród. Tak pachnie trup, a jak trup to i mamona. Gabinet doktora. Lekarza płonnych nadziei, chęci zemsty, ostatniego kontaktu i doskonałego pochłaniacza pieniędzy. Czemuż to pracownia nie przy szpitalu? Bo szpital to umieralnia, dom dla kreślących w kalendarzu dni pozostałe do śmierci, wsłuchujących się jedynie w ciszę i liczących robaki wgrzające się w dno materaca. Tak właśnie myślał Dalebor –sługa dnia i nocy, sprzymierzeniec zwierzyńca, wyznawca wszelkiego zła leczniczego i sprawiedliwości. Codziennie kilka razy w górę i w dół po schodach. Raz w prawo, raz w lewo. Raz za darmo, raz za symboliczną sumę, napełniał spokojem udręczone rodziny, a sam czuł się swego rodzaju zbawicielem ludzkości, pod-bogiem który choć w małej części ma wpływ na dzieło Stwórcy. Był wysoki, barczysty, jak drzewo o mocnych korzeniach mądrości i rozsądku. Ubiór dość skromny, różniący się od tego ówczesnego, zdominowanego przez kicz i wszechobecną chałę. Jego miedziano-ruda broda spływała wodospadami na ramiona i topiła jego ciało w potokach fal. Dalebor był synem. Synem ludzi, z którymi miał nieprzyjemność rozmawiać tylko raz w trakcie swojego trzydziestoletniego życia. Wychowywany przez wielu, już dawno zauważył, że nie pasował do otaczającego go świata. Na pohybel technice i nowoczesności, zgłębiał mistyczną wiedzę, parał się ezoteryką oraz energią emanującą z otaczającego go uniwersum. Imię nadał sobie sam, już jako mały chłopiec. Dalebor to walka. Walka z kosmosem, który wypluł go wiele, wiele lat temu i

zapomniał po niego wrócić. Napiętnowany niespełnionymi ideałami ludzkości, wisiał pomiędzy teoriami zastanawiając się przez lata, która z nich jest tą jedyną, prawdziwą. Natura zdawała się go wołać najgłośniej. Darła się jak nowo narodzone dziecko, chwyciła za duszę jak drapieżnik swoją ofiarę, wbijała kły w marzenia dając obietnicę ich spełnienia. Pracował on jako doktor dusz. Godzinami kroił, przecinał, rznął i dłużał. Nieboszczyk za nieboszczykiem. Historia za historią. Co wieczór ktoś inny. Czasem ktoś zamordowany, a innym razem ofiara fanatycznego gwałciciela. Cóż za marazm. Już dawno nie działo się nic, co mogłoby szarpnąć nim, obudzić go, wyrwać z wegetacji, monotonii i w kółko powtarzających się spraw. I znowu Wagner. Zimna już kawa. Fusy chwytające się podniebienia i język melodii wchodzący do gardła.

Był poniedziałek. Dalebor bujał się na wysłużonym krześle, myśląc kiedy przyjdzie mu znowu, na własną rękę, badać okoliczności śmierci kolejnego mieszkańca miasteczka. Skrycie w sercu liczył, że po tylu usypiających tygodniach przyjdzie mu zająć się czymś ciekawszym, niż zagryzionym przez psa dzieckiem, czy utopionym w kanale pijakiem. Marszczył brwi, obserwując w oczekiwaniu drzwi gabinetu. Zmarszczki na jego czole tworzyły mur chiński, a krople potu jak deszcz spływały mu na nos. Zegar przesuwiał swoje ramiona jeszcze wolniej niż zwykle, a każda godzina zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nawet Wagner zamilkł, a kawa była słabsza niż powszednio. Zrezygnowany Dalebor zasnął oparty o stół. Nawet nie zorientował się, że wylał na siebie całą zawartość talerza z kolacją.

Ze snu wyrwał go potężny cios między żebra. W pomieszczeniu oprócz niego znajdowało się trzech rosnących mężczyzn. Nazywali się Siemowit, Sławobor i Blizbora. Cóż to za gadzie imiona. Jak szeptał Lucyfera nawołującego do zguby. Pogańskie sylaby wprawiające w odrętwienie każdego trzeźwo stąpającego po pozornie ucywilizowanym globie. Kim byli? Dalebor nie miał czasu spytać, bo wykrzykiwali coś jeden przez drugiego, tym samym doprowadzając doktora do pasji, gdyż nie był w stanie wychwycić z tego jazgotu ani pół słowa.

- Cisz! – ryknął Dalebor, ciskając pięścią w stół i niefortunnie rozcinając sobie palec o jego kant.

Wszyscy zamarli. Spojrzeli po sobie i skinęli głową w stronę Sławobora, aby ten zaczął mówić. Mężczyzna zdjął czapkę, przycisnął ją do piersi i wybełkotał głosem strawionym przez ogniste nalewki:

- Wielmożny, my do Pana ze sprawą niecierpiącą zwłoki. Wracaliśmy dziś w nocy z weseliska na błoniach. Lekko podchmielone oko mieliśmy, kłamać nie będę, bo i tak Pan widzi jakie spuchnięte mamy oczy. Dookoła ostatnie tańce, śpiewy i krople weselnego wina.

Słońce zaczęło wyglądać zza widnokregu, kur zapiał trzy razy i mój najmłodszy syn, Siemowit, utrudzony po tak nieprzespanej nocy, wpadł do dołu w lesie. Darł się i wołał, to go chłopcy ze wsi znalazły. Myśleliśmy, że sobie kości połamał i dlatego tak krzyczał. A tam w tym dole... Panie! Jak żyję nic podobnego nie widziałem! – mówił językiem dziś już niespotykanym, innym niż wszystko co ówczesny człowiek miał przyjemność słyszeć. Dawno już zapomniane słowa, akcent też jakby inny. Rytm jak spod stóp maszerujących tysięcy.

W tym momencie Blizbora rzucił na stół płócienny worek. Musiał być ciężki, gdyż na pierwszy rzut oka widać było, iż sprawiło mu to sporo kłopotu. Miech ubrudzony był błotem, ziemią i zaschniętą brunatną cieczą, która zapewne była krwią tego, co znajdowało się w środku. Dalebor wstał, zakasał rękawy i rozciął wór jednym, zdecydowanym pociągnięciem noża. Czuł się jak Pan. Jak wyrocznia orzekająca o losach wszelkiego stworzenia. To, co ukazało się jego oczom wprawiło go w osłupienie. Mimo, że widok był koszmarny, uśmiechnął się w sercu, że to nie kolejny, identyczny jak tysiące poprzednich przypadków. W worku znajdował się dziwaczny przedmiot. Profanacja cnót i moralności każdego zdrowo myślącego człowieka. Dębowa deska, a do niej przybite dłonie. W jednej z nich skrawek białego płótna, a w drugiej zgnieciony pergamin. Całość w swej okazałości przypominała coś na kształt płaskorzeźby, przeznaczeniem podobnej do głów jeleni jakie myśliwi wieszają w salonach nad kominkiem. Dalebor przesłuchał kolejno znalazców, ale nie dowiedział się niczego, co mogłoby pomóc mu w znalezieniu sensownego wytłumaczenia dla tego, co właśnie oglądał. Pożegnał mężczyzn i udał się do domu, aby przespać się z myślami. Jeszcze nie wiedział, co zrobi z tak pociągającą sprawą.

Kuchnia pachniała świeżym pieczywem i kwasem chlebowym. Słońce zaglądało przez okno, ale Dalebor myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się do gabinetu. Przetykając ostatni haust napitku, w pośpiechu zamknął za sobą drzwi. Po drodze minął rynek, targ, i kilka przecznic, aż dotarł na miejsce. W pośpiechu trącił barkiem kilka kobiet, zebrał bagaż słów obelżywych jak żmije i kilka niewybrednych, ciekawskich spojrzeń. Dotarł na miejsce. Nawet nie zdążył się przebrać. Od razu ruszył w stronę worka, aby dokładniej przyjrzeć się wczorajszemu odkryciu. Zapalił lampy, wyciągnął narzędzia i zabrał się do pracy. Serce waliło mu jak oszalałe. Nie mógł się doczekać, aż dowie się, co zaszło w zagajniku i jak to coś się tam znalazło. Przeklinał w duszy łotra, który dokonał tak zbrodniczego czynu.

Początkowo obejrzał przedmiot z każdej strony. Dłonie ewidentnie należały do młodej kobiety, na oko jeszcze przed dwudziestą wiosną. Świadczyła o tym gładka, sprężysta, lekko różowa skóra. Skrytobójstwa musiano dokonać niedawno, lub skropiono palce jakąś nieznaną substancją, bo ciało było jak żywe. Dalebor delikatnie wyjął z ręki tkaninę i przyjrzał

się jej dokładnie. Był to len. Dawniej szyto z niego koszule dla mężczyzn i fartuchy dla kobiet. W obecnych czasach, bardzo niedoceniany. Skrawek był niewielki, o postrzępionych bokach. Wszystko wskazywało na to, że został on wyrwany w amoku z szaty napastnika. Następnie doktor pochwyił pergamin. Rozwinął go delikatnie. Na papierze znajdował się nieznacznie starty drzeworyt. Zaciekawiony Dalebor zaczął się w niego wpatrywać. Obraz ukazywał tłum ludzi w długich szatach i maskach na kształt tych, noszonych przez lekarzy w czasach epidemii dżumy. Długie szpiczaste nosy masek jak dzioby sępów czekających na swoją ofiarę. Po środku odbito w wosku jakąś mistyczną pieczęć, którą doktor widział po raz pierwszy w życiu, a widział naprawdę wiele. Na pieczęci znajdowała się waga. Po jednej jej stronie, na pierwszej szali, która znajdowała się wyżej, leżał globus, a na drugiej dłonie splecione w geście modlitwy. W tle widać było coś jakby studnię, norę, czy dół w ziemi. Rozmyty tusz nie pozwalał na dokładniejszą analizę. Nad głowami owego tłumu – słońce rzucające swe promienie do wnętrza studni. W tamtej chwili, medykowi przez głowę przelatywały tysiące refleksji, jak ptaki powracające wiosną w rodzinne strony. Nic. Zupełnie nic nie przychodziło mu do głowy. Czym kierował się ów zabójca? Kim są ci magowie w maskach? Tyle pytań, żadnej odpowiedzi. Skąd ta ślepotą symboli u tak doświadczonego człowieka? Gdzie jego pod-boskie umiejętności? Co zaćmiło ten niesamowity, wręcz obłąkany spryt? Zrezygnowany swoją bezradnością, postanowił udać się do starego antykwariatu. Przepadał za wizytami w tamtym miejscu. Pachniało w nim drewnianą podłogą, kurzem i tuszem, czyli tym co na tak tęgie umysły działało jak opium. Było tam wszystko. Od perwersyjnych romansów ulicznych poetów średniowiecza, po najmroczniejszą literaturę, którą boją się studiować nawet najznakomitsi magowie. Zazwyczaj było tam pusto. Słyszeć było tylko własny oddech i bicie serca. Mieszkańcy bali się igrać z siłami natury. Woleli żyć w przekonaniu, że te sprawy ich nie dotyczą, ale w rzeczywistości kupowali fałszywe, ochronne amulety na każdym jarmarku. W końcu nie było to średniowiecze, tylko dumnie brzmiące lata dwutysięczne. Siły nadprzyrodzone - tabu. Przecież człowiek był mądry i nad wszystkim, co nieludzkie. Każdy żył dumnie, czasem aż zanadto na pokaz. Kolacje, opery i teatr. Nauka i sztuka, jak matki karmiące spragnionych życia. Dalebor już dawno zatarł w swej głowie granicę dni, tygodni, lat, czy wieków. Czas nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Zastanawiał się, czy kiedyś nie było lepiej. Bez elektroniki, indyjskich głów polityków dziobiących kieszeń i szarpiących portfel uczciwego obywatela. Było. Zawsze dochodził do tego samego wniosku. Patrzył w przeszłość z utęsknieniem, wspominając dni, kiedy o istnieniu decydowały żywioły.

Usiadł w fotelu. Słyszeć było tylko cichy chrobot ciała, zapadającego się w masywnych fałdach zdezelowanego siedzenia. Dookoła głucho. Co parę minut tę głość przerywało tylko ni to głośnie, ni to ciche przełknięcie śliny i szelest przerzucanych w pośpiechu kartek. Tak

mijały godziny. Ulicą podążali już dawno spóźnieni uczniowie, zapracowani nauczyciele, sprzedawcy, czy kobiety, z szarpiącymi je za rękaw płaszczami dziećmi, dla których luksusem byłoby tak po prostu siedzieć. Całe miasto było niczym śpiący niedźwiedź. Ociężałe, gnuśne, trwające w pozornym spokoju. Siedział. Co jakiś czas, nie zmieniając ułożenia, spoglądał od niechcenia przez okno, licząc że uda mu się w końcu odnaleźć coś sensownego. Pod wieczór nie wiedział, czy ten ból to już dawno zdrętwiałe nogi, czy może ziejąca chłodem pustka w jego zmęczonej myśleniem głowie. Gdy zrezygnowany zarzucił płaszcz i zmierzał w kierunku wyjścia, zauważył na ścianie obraz. Był identyczny jak ten, który znalazł w jednej z odrąbanych dłoni. Idealna kopia, a może oryginał, jak doskonalszy bliźniak nawołujący swojego pobratymcę. Dalebor podszedł do ściany, zdjął dzieło i położył na stole. Teraz miał już dwa obrazy, z którymi nie wiedział co uczynić. Cały absurd sytuacji irytował go coraz bardziej. Czuł się bezradny w obliczu zagadki, której widocznie nie dane było mu rozwiązać. Wodząc oczami po antykwariacie, zobaczył na stole dzwonek. Małe, mosiężne cudeńko, które aż prosiło się, żeby go użyć. Było to nadzwyczaj zdumiewające, gdyż podczas swoich wizyt, Dalebor nigdy nikogo nie spotkał. Zrezygnowany chwycił za rękojeść i potrząsnął kilka razy. Pięć, może nawet siedem. Rozległy się dźwięki jak chór anielski, jak tysiące głosów uwięzionych w mosiężnej materii.

- Dobry wieczór.- rzekł ktoś zza pleców mężczyzny. Głos miał gardłowy, lekko zachrypnięty, ale nad podziw znajomy.

- Dla kogo dobry, dla tego dobry. Moje imię ...- zaczął Dalebor obserwując odbicie rozmówcy w szybie jednej z półek.

-Tak, tak. Dalebor. Mieliśmy już okazję się spotkać, Panie. – odpowiedział.

Któż używał takich słów? Skąd ta uprzejmość godna władców, którzy zamknęli oczy wiele, wiele lat temu? Wszystko stało się jasne. Nawet odbicie zaczęło nabierać znajomych kształtów. Rozmawiał z nikim innym, jak z Siemowitem. Zdumiony obrotem spraw, bezszelestnie wsunął pergamin do kieszeni i obrócił się w stronę chłopaka. Napotkał tylko zdumione jak u cielęcica oczy. Dalebor wahał się w duszy, czy zapytać o znalezisko. Nie był pewien, czy wtajemniczając go nie zaryzykuje zbyt wiele. Po chwili ciszy, przemówił.

- Znalazłem dziś tutaj przepiękny obraz. Dziwne, że bywając tu tak często nie zauważyłem go wcześniej. To ten.- wskazał leżące na stole płótno. – Nie wiesz może jaką treść stara się przekazać? Tyle na nim symboli, a nie udało mi się odnaleźć w księgach ani jednego z nich.

W tym momencie okrągłe jak dwa księżycy oczy Siemowita zmrużyły się. Wykrzywił twarz w nienaturalnym grymasie. Nie był to ani uśmiech, ani niesmak czy pogarda. Skinął on

tylko głową w stronę drabiny, która prowadziła na poddasze i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Dalebor napełniony nadzieją, chwycił płótno, wykonał kilka zdecydowanych susów i już znajdował się na górze. Kurz gryzł w oczy, a książek było tam jeszcze więcej niż na półkach antykwariatu. „Medycyna naturalna”, „Podstawy Ziołolecznictwa”, „Diabły, strzygi i inne stwory”, „Nauki Podziemia”. Tytuły płały mu przed oczami jak oszalałe. Rył między regałami jak kret. Kopał między rozdzielkami, przemierzał tysiące akapitów. Nie wiedział, czego dokładnie szuka. Niemoc przelewała się w nim falami oceanu, którego wolności nie miał okazji nigdy podziwiać. Rozsierzony niepowodzeniem usiadł na blacie jednego ze stołów i spojrzał w stronę dachowego okna. Donośne głosy gołębi, dobiegające zza szyby, wtórowały biciu jego zmęczonego serca. Mężczyzna wodził oczami po całej izbie. Urzekł go ład w jakim zastał pomieszczenie. Grzbiety książek, jak koty prężące się, aby tylko je pogłaskać. Ułożone równo na regałach intrygowały zdobieniami i różnorodnością. Tylko jedna wysunięta była nieco dalej niż pozostałe, burząc tym samym harmonię tego literackiego rajku. Dalebor podszedł i delikatnie wysunął tomik. Na okładce mieniła się waga. Na jednej szali globus, na drugiej dłoń. Już gdzieś to kiedyś widział. „Ośmiuset” ,tak zatytułowana była książka. Jegomość w pośpiechu przerzucał kartki, aż natrafił na wydartą stronę. Wsunął rękę do kieszeni po pergamin z drzeworytem. Pasował idealnie. Dalebor schował dzieło pod klapę płaszcza i w te pędy pobiegł do domu.

Mijały tygodnie. Tłumy dobijały się do od dawna zamkniętego prosektorium. Dalebor dniami i nocami czytał „Ośmiuset” , za każdym razem dopatrując się nowych szczegółów. Dawno nie schodził schodami w dół. Nie skręcał w prawo, ni w lewo. Wagner odszedł w zapomnienie na dobre, a kawa przestała być już potrzebna, przy takim natłoku podniecenia zmieszanego z dociekliwością. Ten bukiet słów był krokiem milowym w jego dochodzeniu, choć wydawał się wydumany, absurdalny i raczej niewiarygodny. W tej księdze odnalazł wszystko to, czego tak długo szukał. „Ośmiuset” było zakonem. Czymś na kształt zgrupowania zrzeszającego wolne, nieskrępowane umysły dążące do jedności ciała i duszy. Ludzi, którzy nie pasowali do świata tandety, prostoty i uniwersalizmu. Kosmicznej materii tułającej się po świecie w poszukiwaniu swojego miejsca. Samotni, ukryci, oświeceni. Tak o sobie mówili. Odrzucali wszelki bezsens i eteryczność na rzecz nauki i poznania. Człowiek był dla nich tytanem, herosem, który włada światem jak dyrygent. Składali hołd żywiołom, które napełniały ich głowy bystrością, następnie wykorzystywaną do kierowania losem całego globu. Dalebor zrozumiał cały przekłety drzeworyt. Globus – potęga idei, dłoń – naiwność i kruchość istoty jaką jest człowiek. A ci ludzie? To właśnie „Ośmiuset”. Według legendy istnieli oni od dnia założenia miasta, gdy pewien zbłąkany król krzycząc „O! Pole” powołał do życia osadę– dokładnie osiemset lat temu. Kogokolwiek by spytać powie, że władca był sam. Ha! To największe i najbrzydzliwsze kłamstwo! Podróżował z nim giermek.

Nietypowy. Była nim kobieta. Przepiękna, delikatna, pół-krwi elfickiej. Prowadziła króla, aby odnalazł właściwą drogę, a ten w zamian za pomoc obiecał jej, że powstałe królestwo oboje wezmą we władanie. Nic bardziej mylnego. Powstało Opole. Gród rozpościerał się z roku na rok jak sokole skrzydła. Król, upojony władzą i bogactwem, dawno zapomniał o złożonej przysiędze. Wtrącił elfkę do lochu i sam zatracił się w potędze władania. Czego ta biedna istotka doświadczyła, Dalebor nie był w stanie sobie wyobrazić. Trafił na wzmiankę o jej czterech synach, bękartach żołnierzy, którzy na jej polecenie rozeszli się w cztery strony świata, aby szerzyć ideę. Ideę matki – wyroczni, która z głębokiego podziemia kierowała prężnie rozwijającym się miastem. Chwała, bogactwo, ale i klęski, głód oraz choroby, wszystko istniało dzięki jej wszechmocy. Latami zgłębiała wiedzę, którą lekarz właśnie trzymał w rękach. Rytuały, obrzędy, pieśni, jadowite zaklęcia i mroczne przekleństwa. Instrukcja obsługi świata. Zaprzeczenie wszystkiego, w co wierzy człowiek. Po jej śmierci, co sto lat władzę obejmował ktoś inny. Jak Pan, który patrzy na ręce swoim wasalom. Ręce, no właśnie ręce. Być może, po śmierci każdego z Panów, odcinano mu ręce na pamiątkę pracy jego dłoni. Stąd właśnie ta fatalna deska. Tylko taki wniosek przychodził doktorowi do głowy. Było to czymś w rodzaju upamiętnienia post-mortem dynasty. W gabinecie Dalebora znajdowała się świeża pamiątka po ostatnim, zmarłym, panującym magu. Zafascynowany odkryciem mężczyzna, pograżył się w dalszej lekturze księgi.

Dalebora nie zauważył, kiedy zasnął z nosem w książce. Kawa. Był czas na kawę. Postanowił zrobić sobie chwilę przerwy, sekundę na wytchnienie, zebranie myśli w jedną spójną całość. Jak wytchnienie to Wagner. Nastawił gramofon. Podniecały go stare rupiecie. Wolał rower niż samochód, pióro niż długopis, fusy między zębami niż głaszczące gardło latte. Spojrzał przez okno. Uśmiechnął się do siebie. Ha! Kto by pomyślał, że będzie mu dane rozwiązać tak nieprawdopodobną sprawę. Uradowany z powodzenia śledztwa wyszedł, aby pozbyć się przedmiotu z gabinetu. Schodami w dół. Prawo, lewo, prosto. Już miał pakować wszystko do worka i zakopywać, ale na podłogę upadł skrawek Inianego płótna, które miał wątpliwą przyjemność oglądać na samym początku. Schylając się po nie zauważył coś, co wcześniej musiało umknąć jego oczom. Na brzegu było coś napisane. Cyfry. Przedarta na pół liczba.

Biegł. Potykał się o własne nogi. Jaki on był bezmyślny. Dlaczego nigdy nie był wystarczająco dokładny? Co to za liczba? Ciąg cyfr. Może data. Może szyfr. Nie wiadomo. Kłębią się myśli. Kłębią jak kłęby dymu, które buchały mu z okna mieszkania. Cholera! Nie wyłączył piekarnika. Co się działo! Wody. Potrzebował wody. Z kuchni buchały ostre, niewyparzone, ogniste jęzory. Opanował sytuację. Uff. Na szczęście nie trzeba było wzywać straży. Otworzył księgę i zaczął czytać dalej. Żadnych liczb, sam tekst. Dalebor spojrzął na tkaninę zrezygnowany. Chwycił pióro i zapisał na kartce liczby, które udało mu się odczytać.

7992_1_ . Brakowało dwóch cyfr. Co mógł oznaczać ten zapis? Było to ponad siły doktora. Potrzebował pomocy, jeśli chciał posunąć się dalej. Tylko kto mógł go oświecić? Wykonać za niego ten intelektualny, siedmiomilowy krok? Jedyłą osobą, która przyszła mu na myśl, był sąsiad. Starzec mieszkający za ścianą. Dawniej był kustoszem. Z wykształcenia historyk, z pasji antropolog, znawca dawnych kultur i obrzędów. Od wielu lat samotny, uważany za szaleńca, który postradał zmysły. Dalebor zapukał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał jeszcze raz. Nic. Głucho. Dobrze wiedział, że mężczyzna jest w środku i nie miał zamiaru tak łatwo się poddawać.

- Otwieraj!- ryknął szarpiąc za klamkę, bijąc pięścią we framugę. – To ja Dalebor! Otwieraj! – powtórzył kilka razy.

Po pewnym czasie za drzwiami coś zaszleściło. Jasne już było, że lekarzowi udało się dopiąć swego. Wystarczyło teraz tylko posłuchać rzeki obelg, zrobić kilka uników, aby nie oberwać w łeb dębową laską i można było wejść. Dalebor rzucił na stół księgę, drzeworyt i tkaninę, patrząc pytająco na sąsiada. Twarz starca natychmiast zmieniła swój wyraz. Zaciekawiony zapadł się w fotelu i zaczął oglądać przedmioty, co jakiś czas poprawiając zsuwające mu się z nosa okulary. Trwało to godzinę, może nawet dwie lub trzy. W tym czasie Dalebor zdążył zjeść słoik konfitur, domową szynkę oraz blachę kołacza ze spiżarni staruszka i chwilę się zdrzemnąć.

- Ciekawe, ciekawe. – zaczął dziadek.- Nie wiem, gdzie udało ci się to znaleźć chłopcze, ale nie trzymałbym tego w domu. Na pierwszy rzut oka widać, że to nie zabawka.

- Widzi Pan te cyfry? Brakuje dwóch, a poza tym nie wiem, co znaczą. Ni to data, ni szyfr. Może Panu przychodzi do głowy o czym mogą świadczyć?

- Zwróciłeś uwagę na ten drzeworyt ? Według księgi wtajemniczonych powinno być ośmuset, na cześć przepowiedni więdźmy, która zaczęła cały ten burdel. Jest 799. Jestem pewien. Liczyłem dwa razy.

- Przepowiedni? To była jakaś przepowiednia?

- Czytałeś to w ogóle synku? – starzec rzucił księgą o stół. – Przepowiednia brzmi : „Za osiemset wiosen, gdy ciało będzie uspione, a ręce uschną styryne, wtedy to szukać będziem istoty, która wypełniać będzie co każem, w imię idei. I stanie osiemsetny w zastępie ośmuset, bo tego dnia dokonam ostatecznej czystki świata. Zniknie materia i byt splamiony w Noc Świętojańską w łonie matki, która nas zrodziła. I zaludnim od nowa ziemię rodem oświeconych. Za grzech łgarstwa zapłaci cały ród ludzki.”

- To powstało z rąk elfki i jej synów, osiemset lat temu w lochach zamku, prawda ? Ona żyła, gdzieś w podziemiach przez te wszystkie lata, tak ? Wiedziała od samego początku, co uczyni.

- Jak widać. Zjednała sobie wielu. To jest piekielny zastęp. Inferno cierpienia. Szyk zbrojny niosący klęskę za słowo, które nie zostało dotrzymane.

- Szukała godziwego następcy ? Kogoś kto z nią zniszczy to, co budowała przez te wszystkie lata?

- Szukała guru. Kogoś na miarę antychrysta, osiemsetnego, ostatniego puzzla potrzebnego do złożenia w całość tej układanki.

- A dłonie przybite do deski, które wyglądają jak te. – wskazał na szkic na jednej ze stron księgi.

- Tak jak myślałeś - dzieło post-mortem. Ale ciało nie elfki, a człowieka. Ostrzeżenie dla kogoś, kto miał to odnaleźć. Ten ktoś walczył. Nawet udało mu się wyrwać materiał, który trafił w twoje posiadanie. Zaczynają ginąć ludzie.

- A te „uschnięte ręce” w przepowiedni ? Co to znaczy?

- Nie, nie bądź głupi chłopcze. Umyła ręce od zbrodni, którą tak naprawdę zaplanowała. Spójrz. Tu jest wszystko dokładnie opisane. A tu, zaraz obok jest mapa Opola. Pamiętasz, kto spoczywa teraz w katakumbach kościoła? Mówi ci coś Władysław II Opolczyk? W tych podziemiach znajdują się ludzie, którzy zginęli przekleci jej słowem. Wszystko, co znajduje się w tamtym mieście jest jej sprawką, od tamtego miejsca się zaczęło. To ono jest tym mistycznym łonem, o którym mówi. Teraz nienawidzi całej ludzkości, chce pokonać wszystkich, ale to tam znajdują się bramy piekieł, w których zasiadała na swoim kolczastym tronie. I pomyśleć, że jedno kłamstwo było początkiem tak ohydnych spisków.

- Czyli 799 to zakon, ludzie, którzy oczekują na biesa, który pozwoli ziemi pochłonąć całą prawość tego świata. Czekają na osiemsetnego. A 2_1_ to rok. Tak! To rok 2017! To już teraz! To stanie się tego lata!

- Nie chcę już nic o tym słyszeć! Idź precz i nie mieszaj mnie w to nigdy więcej! Sam dobrze nie wiesz, czy to wszystko nie jest jedną wielką bajką, klechdą dla dzieci.

Dalebora zabrał swoje rzeczy i wyszedł. Ledwo przestąpił próg, a drzwi zatrzasnęły się za nim z łoskotem. Tyle ostatnio się wydarzyło. Tyle rzeczy się dowiedział. A jeśli to

wszystko było prawdą? Jeśli Ośmiuset planowało masowe mordy na niewinnych ludziach? Przez kolejne kilka dni mężczyzna nie mógł spać. Przewracał się z boku na bok, targany wątpliwościami. Kolejki przed gabinetem były tak długie, że sięgały, aż do sąsiedniej ulicy. Nie miał zamiaru wstawać. Leżał godzinami, aż zaczynały boleć go plecy. Wtedy tylko wstawał, przynosił sobie kubek napoju Brazylii i delektował się jego głębokimi pocałunkami.

W takim letargu wytrzymał tylko tydzień. Jakaś mistyczna siła, bez przerwy ciągnęła go w stronę tej sprawy. Był maj. Coraz mniej czasu do Nocy Świętojańskiej. Wagner grał jak narwany. Dalebor biegał po schodach w górę i w dół, mijał zakręty z szaleńczą prędkością. Zajął się pracą. Odsunął w niepamięć cały absurd minionych miesięcy. Codziennosc. Gramofon. Kawa. Kawa. Gramofon. Pijak utopiony w kanale. Dziecko zaszczute przez psa. I tak w kółko. Nie wytrzymał. Chwycił plecak, narzucił płaszcz i pognął na rowerze do legendarnego Opolo. Po drodze mijał setki samochodów i grupy pielgrzymów. Ładne tam szły kobiety. Niegłupie i takie, z którymi noc pokazuje czym naprawdę smakuje życie. Nie miał czasu. Nie miał czasu na romanse. Skoro przez trzydzieści lat wystarczała mu jedynie kawa, to musiało tak jeszcze jakiś czas pozostać. Słońce gładziło go po nosie, a wiatr zaplatał jego brodę w warkocze. Dotarł. Znajdował się w miejscu, które od tak dawna go wołało. Zsiadł z roweru i zadął wysoko głowę. Podziwiał coś, od czego całe życie tak zawzięcie uciekał. Kamienice wokół rynku jak drzewa. Miejski las z gipsu i betonu. Gwar ulic brzęczący w uszach tysiącami pszczół. Czuł się, jakby czekał na dzień ostateczny. Jakby świat wciskał mu na głowę koronę cierniową. Wynajął pokój. Rzucił się całym ciężarem na hotelowe łóżko, kotłował w barłogu dobre kilkanaście minut, zanim zdecydował się na podjęcie kroków w celu wytropienia zakonu. Bał się, że już nigdy nie wróci, nie odsłucha ponownie winylu Wagnera i nie zatonie w namiętności słodko-gorzkiej kawy. Wyrzwał przez okno. Odra niczym nimfa wzywała go swoim zmysłowym tańcem. Chwycił pergamin i wyszedł. Spacerował długo. Przez kilka dni kluczył ulicami, aż nakreślił sobie w głowie szczegółowy plan miasta. Nie znalazł nic. Wściekły, że dał się nabrać na nieracjonalny kawałek trzech nieznanomych, wyciągnął drzeworyt z kieszeni. W napadzie gniewu szarpał go i darł na małe kawałeczki. Wiatr chwycił je za niewidzialne ręce i porywał do tańca wokół majestatycznego rynku. Już miał puszczać ostatni element, gdy nagle wpadł na pewien pomysł. Mało entuzjastycznie, nastawiony na porażkę, przyjrzał się kartce dokładnie. Miesiące temu widział kawałek studni, może pieczary, czy nory. Teraz był pewien, że była to studnia w całej swej okazałości. Tuż za nią znajdował się masywny budynek, a słońce nie było słońcem, tylko witrażem, przez który wpada światło, aby wskazać drogę do zakonu. Zamyślił się. Przetwarzał jak komputer wszelkie dane, które udało mu się zebrać w ciągu kilku ostatnich dni. Obrazy. Zdjęcia wirowały mu przed oczami. Przekopał całe miasto. Wchodził do każdej świątyni. Gdzie widział okrągły witraż na wschodniej ścianie? Katedra?

Nie, nie. Może któraś z kamienic wokół ratusza? Kilkakrotnie okrążył rynek. Na próżno. Spojrzał we wszystkie prostopadłe uliczki i zamarł. Na wzgórzu piętrzył się kościół, spoglądając na niego swoim wielkim szklanym okiem. Witraż nad falangą okien odbijał promienie słońca, rażąc go mimo tak znacznej odległości. Porównał dzieło z rzeczywistością. Nie miał już wątpliwości, że patrzy na jeden i ten sam element. I znowu zagorzał w nim ogień nadziei, że cała praca ubiegłych miesięcy nie poszła na marne. Wrócił do hotelu.

Kilka dni zajęło mu zebranie się w sobie, aby odwiedzić ów kościół. W Opolu był już drugi tydzień i w końcu wypadało zakończyć ten rozdział. Codziennie otrzymywał telefony od zniecierpliwionych klientów. Podobno kolejki były tak wielkie, że niektórzy na noc nie wracali do domu, w obawie o utratę miejsca. Zdenerwował się. To nie mogło tak dłużej wyglądać. Chwycił słuchawkę hotelowego telefonu i wykręcił numer.

- Halo? – odebrał ktoś po drugiej stronie słuchawki.

- Witaj sąsiedzie! Dzwoni Dalebor. Mam pewną sprawę i myślę, że mógłby mi Pan pomóc. Po raz ostatni.

- Dalebor? To ty? Od kiedy ty w ogóle używasz czegokolwiek innego niż telegrafu? Zły wpływ mają na ciebie te wakacje. A właśnie! Gdzie ty się podziewasz już kolejny tydzień? Nawet sobie nie wyobrażasz ilu ludzi o ciebie pyta. Ale wracając, czego znowu ode mnie chcesz? Z góry uprzedzam. Jeśli ma to coś wspólnego, no wiesz, z tą sprawą, to nie licz na mnie synku.

- Nie, nie. Postanowiłem zrobić sobie małą wycieczkę, po tylu latach tyrania ja wół. Nic wielkiego. Po prostu trochę się przeciągnęło. – skłamał tak wiarygodnie, że aż sam był w stanie sobie uwierzyć. – Wyślę Panu pocztą pewną rzecz. Proszę powiesić ją na drzwiach gabinetu. To dla mnie bardzo ważne. Do widzenia.

- Ale chłopcze! Zaczekaj ! Dlaczego jesteś taki...- w tym momencie Dalebor rozłączył się.

Wyciągnął kartkę. Przekopał plecak w poszukiwaniu pióra. Otworzył kałamarz. Nabrał czarnej krwi prozaików i zaczął pisać. Gdy skończył, wsunął świstek do koperty, oblizał brzegi, zakleił dokładnie. Szybkim ruchem nabazgrał adres i pognął na pocztę.

Starzec parzył herbatę. Mijał już trzeci tydzień od zniknięcia jego pomyłonego sąsiada. Gdzie był? Co znowu wymyślił? Mężczyzna miał nadzieję, że porzucił on to poplątane śledztwo. Za dobrze znał życie. Zdążył się sporo nauczyć podczas dziewięćdziesięciu lat

stąpienia po ziemi. Dalebor był w Opolu. Teraz zostało tylko liczyć na to, że cała ta farsa okaże się nieszkodliwa. Co stało się z dzisiejszym światem? Nie potrafił udzielić sobie odpowiedzi. Wypełniając swój powszedni rytuał, udał się na parter, by opróżnić skrzynkę na listy. Jakże zabawne jest sprawdzanie, czy zawitał do ciebie listonosz w czasach, gdy ludzie zasypują się hałdami maili. To wygodne. Żyjesz w bańce mydlanej, do której wpuszczasz tylko tego, komu naprawdę na tobie zależy. Jaka szkoda, że tak mało osób o tym pamięta. Otworzył. Zanurzył rękę między gazetami, ulotkami i innym badziewiem. Wyjął list. To od Dalebora. Poznał po charakterze pisma. Wszedł do domu. Kuchennym nożem rozciął kopertę i rozwinął kartkę. Czytał kilkakrotnie w nadziei, że sędziwy wiek płata mu figle i wcale tego nie widzi. Nekrolog.

Z nieprzebrany żalem zawiadamiamy o nagłej śmierci szanowanego patomorfologa Dalebora , który zmarł dnia 23 maja 2017 roku. Pogrzeb nie odbędzie się. Wszystkich klientów serdecznie przepraszamy za zaistniałą sytuację i zapewniamy, że niedługo ktoś zajmie jego miejsce i się Państwem zajmie.

Pogrążona w smutku rodzina, której nigdy tak naprawdę nie miał.

Wiść o domniemanej śmierci lekarza rozeszła się szybciej niż starzec podejrzewał. Przez chwilę nawet żałował, że wywiesił to przekłete ogłoszenie. Nie, nie. Tak należało postąpić, choćby z czystego szacunku wobec kłamliwego denata. Nie był głupi. Dobrze wiedział, że jego przebiegły towarzysz pogrywa sobie z całym miasteczkiem. No cóż, tak wybrał. Nie pozostało mu nic innego, niż oswoić się z jego podejrzaną decyzją.

Dalebora był gotów. Wątpliwości wyły w nim zastępami wilków, ale skutecznie nauczył się zamykać im pyski. Od kilku dni pił tylko mieszanki leczniczych ziół, aby przygotować swoje ciało na nadchodzące spotkanie z zastępem ciemności. Przezorny zawsze ubezpieczony, a napary zdawały się działać cuda. Oczyszczony ze skazy zwykłego śmiertelnika, był zdecydowany, aby położyć kres panoszącej się jak szczury krzywdzie. Po zmroku opuścił hotelowy pokój. Szedł. Zmierzał przed siebie, aby stawić czoła idei. Podziemi, które przez setki lat rozwijało się pod Opolem zupełnie niezauważone. Jak wielki brat patrzyło na ręce mieszkańców i kierowało losami wielu. Przez głowę przemierzały mu strategie, niczym plutony wojska. Co zrobić, jeśli ich znajdę? Ukryć się? Zdeptać dudniące serce zawszawionego węzowiska? Otruć śmiertelnościami oparami, gdy w końcu posną, bo przecież kiedyś muszą spać? Nie wiedział. Wszystko miało się dopiero okazać.

Zegar na ratuszu pokazywał dokładnie 00:00. O tej godzinie zazwyczaj Wagner zaczynał grać Pierścień Nibelunga, a dawno już lodowata kawa stała samotnie na stole. Dalebor nucił pod nosem kolejne arie, licząc, że nie napotka mar i szkarad, o których

godzinami rozmyślał, słuchając swojej ulubionej, muzycznej tetralogii. Bezszelestnie wspiął się po schodach na szczyt wzgórza. Miał wrażenie, że księżyc obserwuje każde jego posunięcie. Świątynia św. Wojciecha. Nie wiedział, czy to dobry omen. Nie miał zamiaru ginać. Nie tej nocy. Przypomniał sobie drzeworyt. Słońce. Cóż za ignorancja, że przyszedł w nocy. Zadarł głowę i spojrzął na witraż. Światło księżycy odbijało się od szklanej tafli i wyściełało jak perski dywan ścieżkę prowadzącą do przyświątynnego ogrodu. Dalebor zdecydował się nią podążać. Mijał posągi pór roku, które zdawały się kiwać głowami z niedowierzaniem. Czuł na karku ich oddechy. Ten wiosenny – delikatny, niewinny, można by rzec, że nawet lekko erotyczny ; letni – ciężki i palący ; jesienny – ledwie wyczuwalny, gasnący, odchodzący do innego świata, a zimowy – chłodny, rozpaczliwy oraz pozbawiony resztek sumienia. Szedł tak przed siebie, rozglądając się za czymś, co skojarzy mu się ze ścisłanym w dłoni fragmentem drzeworytu. Usłyszał coś, jakby szept. Ciche wołanie. Echo dobiegające zza drzew. Rozchylił rękami gałęzie i uśmiechnął się szeroko. Nie, wcale się nie cieszył. Pogodził się, że dane mu będzie spojrzeć diabłu w oczy. Pochylił głowę niczym baranek, tym samym potwierdzając swoją ofiarę w imię dobra ludzkości. Nie oglądając się za siebie podszedł do odnalezionej studni. Przesunął dyskretnie dłonią po kamiennych brzegach. Oparł się o nie i wpatrywał w swoje zniekształcone odbicie. Jego broda sięgała do wnętrza i nasiąkała chłodną, wydobywającą z podziemi wilgocią. Czerni toni zdawała się zmieniać w czerwień, a może burgund. Nieposkromione szepty zdawały się wołać go z otchłani. Pchnięty jakąś niewidzialną siłą stracił grunt pod nogami. Leciał w dół. Miał wrażenie, że nigdy nie sięgnie dna. Czy wskoczył sam, czy może któraś z pór roku pomogła mu dokonać wyboru? Machał rękami jak ryba swoimi imponującymi płetwami. Rude włosy jak glony oblepiały mu twarz. Już dawno zabrakło mu powietrza w płucach, ale nadal istniał zawieszony w jakiejś przedziwnej przestrzeni. To one. Poznał je od razu. Wdzięczne i smukłe pory roku. Tak bliskie, a jednocześnie nieosiągalnie, niedoścignione. Splatały mu włosy w warkocze patrząc prosto w oczy. Unosiły się w fantazyjnym ceremonialnym tańcu, o którym Dalebor nigdy wcześniej nie słyszał. Upajał się chwilą, pożerając oczami tak nieskazitelne piękno, że aż wątpliwie prawdziwe. Omotany czarami, uśpił czujność i zapadał się w szale uniesienia. Wszędzie nimfy. Ezoteryczny raj. Kosmos, którego nie jest w stanie sobie wyobrazić nawet najznakomitszy artysta. Ideał sam w sobie. Potęga kształtów oddziałujących za zmysły jak narkotyki. Ponadczasowy Eden. Zachwyciłby się każdy, kto miałby okazję znaleźć się w nim choć na sekundę. Przestrzeń zawieszona pomiędzy dniem wczorajszym a jutrem. Nienamacalny byt napełniający spokojem i równowagą. Tyle obrazów przemykało przed jego twarzą. W żyłach płynęła lodowata woda. Świat ponad wszystkim. Idea potęgi umysłu. Wszechmocy spełnienia nad pokorą, która jest ogromnym znakiem zapytania.

Ulica w prawo od rynku. Czwarte mijane drzwi i schodami w dół. Potem raz w prawo, raz w lewo, następnie jeszcze raz lewo i dalej już tylko prosto. Słysząc Verdiego, czuć zapach herbaty i czegoś jeszcze. No właśnie. Dość osobliwy jak na miasteczko zapach. Zapach brzmi wyniośle. Bardziej odór, fetor czy inny, przyprawiający o mdłości smród. Tak pachnie trup, a jak trup to i pieniądze. Gabinet doktora. Lekarza płonnych nadziei, chęci zemsty, ostatniego kontaktu i doskonałego pochłaniacza resztek oszczędności. Czemuż to pracownia nie przy szpitalu? Na czynsz tylko tego gabinetu było stać Filomełę – przyjaciółkę muzyki, pasjonatkę kart i wszechwładzy Matki Natury. Zawsze samotna. Jako kilkuletnie dziecko wyfrunęła z domu rodzinnego. Zafascynowana tym, co człowiekowi obce i niewyjaśnione, szukała swego miejsca na ziemi. Twarze krewnych jak widmo zacierające się z roku na rok i kogoś jeszcze. Tylko kogo? Rdzawe włosy sięgające kostek, zmiatały kurz z podłogi jej nowego mieszkania. Kamienice, podobne do mitologicznego labiryntu, budziły w niej lęk i chęć ucieczki. Była nowa, bezbronna i przytłoczona ogromem pracy jaki na nią czekał. Czy kiedyś nie było lepiej? Było. Zawsze dochodziła do tego samego wniosku. Z łzą w oku wspominała dni, kiedy o losie człowieka decydowały żywioły, jednocześnie przeklinając trzymające ją w objęciach lata dwutysięczne. Każdy dzień był taki sam. Czytała. Godzinami przerzucała karty z poszczególnymi sprawami, które z minuty na minutę zaczynały nużyć ją coraz bardziej. Pograżona w bezruchu i martwocie, nawet nie uprzątnęła rzeczy po poprzednim lokatorze. Stare wyschnięte pieczywo gryzły myszy, a na dnie kuchennej szafy znajdowały się napoczęte butelki z zepsutym już kwasem chlebowym. Pod łóżkiem w sypialni leżała księga. Gruba, oprawiona w skórę, zapewne bardzo droga. Na okładce lśniła niezwykła waga. Na jednej szali globus, na drugiej dłonie splecione jak do modlitwy. Filomela schowała ją pod klapę płaszcza i zaniosiła do starego antykwariatu po drugiej stronie ulicy. Zapach drewnianej podłogi, kurzu i tuszu działał na nią jak opium. Było tam zupełnie pusto i cicho. Słyszała jedynie swój nierówny oddech i przyspieszone bicie serca. Wiedziała, że przyjdzie tam jeszcze nie raz.

Nadszedł czerwiec. Ziemia śpiewała, uśmiechając się do każdej kroczącej po niej istoty. Jak matka. Matka, która wita swojego niewidzianego przez lata syna. Syna, który miał już nigdy nie wrócić. Syna, któremu dane było przepaść jak kamień w wodzie, ale który pojawił się jeszcze dostojniejszy, niż w dniu swoich narodzin. Filomela biegała po schodach w górę i w dół. Verdi zachwycał, poganiając dyszący gramofon. Prawo, lewo, prosto. Tyle pracy. Tyle sprawunków i oczekujących klientów. Dziewczyna nawet nie zauważyła, kiedy zdarzyło jej się usnąć w prosektoryjnym fotelu. Znużona wylała resztkę herbaty z malinami na kant swojej płowej spódnicy. Sok z malin, niczym krew, zaznaczył materiał. Ślad kuchennej zbrodni. Sprawca – noc, która zamyka oczy tysiącom. Ze snu wyrwało ją

przedziwne uczucie. Wydawało się jej, że ktoś od dłuższego czasu ją obserwuje. Nie pomyliła się. W gabinecie stało trzech rostrych mężczyzn i starzec wsparty na dębowej lasce. Nazywali się Siemowit, Sławobor, Blizbora i Mojmir. Cóż za niespotykane imiona. Jak szepty, które wiatr wkłada do ucha podczas godzinnych wędrówek do lesie – sanktuarium stoicyzmu. Ubrani byli w białe, lniane koszule, które sięgały im do kolan. Krzyczeli coś jeden przez drugiego. Grzmieli, wyli i huczeli na siebie nawzajem. Nic nie dało się zrozumieć. Nie wiem kto był w większym szoku. Oni, czy może jednak Filomela. W końcu pchnęli Sławobora i kazali mówić.

- Pani. Byliśmy wczoraj na rybach. Taka wyborna pogoda. Mój syn. To ten. – szarpnął Siemowita za kapotę, spod której wyłoniła się dziura po wydartym materiale. – Głupi wpadł do wody i musieliśmy go wyłowić. Oprócz niego, wyjęliśmy to. – w tym momencie Blizbora rzucił worek na stół. - Pani! Jak żyję nic podobnego nie widziałem.

Po tych słowach wszyscy udali się do wyjścia. Wór był duży i bardzo ciężki. Filomeli z trudem udało się go otworzyć. Cały ociekał mułem i trącił błotem oraz zatęchłym tatarakiem. To co zobaczyła, sprawiło, że pobladła i opadła na fotel. Po chwili poderwała się jednak i rozwarła miech szerzej. W środku znajdował się przedziwny przedmiot. Coś, jak myśliwskie trofeum. Verdi grał w kółko to samo, herbata stygła głaszcząc nozdrza wonią, niczym afrodyzjak, a Filomela stała jak wryta. Deska. Dwie dłonie. Mocne, żylaste, bez wątpienia męskie. Tkanka jak żywa. W jednej pergamin. W drugiej miedziano-rudy warkocz. Barwa kropla w kroplę podobna do jej własnej. Dziwne. Nigdy wcześniej nikogo o takowej nie spotkała. Dziewczyna wyjęła świstek i rozwinęła go. Drzeworyt. Zobaczyła tłum. Ludzie w maskach jak za epidemii dżumy. Na środku pieczęć. Waga. Na jednej szali globus, na drugiej dłonie. Na przegubie liczba. Wypalona na ciele liczba. 800. Co mogła oznaczać? Filomela przypomniała sobie o książce, którą znalazła pod łóżkiem. Zdawało jej się, że na okładce widniała ta sama waga, co na pergaminie. Wyszła. Im dalej się znajdowała, tym ciszej grał Verdi, a zapach herbaty zniknął gdzieś po drodze. Prosto, w lewo, następnie jeszcze raz w lewo i w prawo. Schodami w górę. Cztery portale. Musiała się pospieszyć, bo w Noc Świętojańską zamykano prędezej.